

Od autora

Tak zwany trzeci wiek skłania niejedną osobę do różnego rodzaju rachunków życia i współżycia z innymi, a czasami również do wniosku, że gdyby się dzisiaj miało pierwszy lub drugi wiek i obecny rozum, to niejedną rzecz zrobiłoby się lepiej, lub przynajmniej inaczej. Jednak co było, to było i już nie wróci. Jest rzeczą normalną, że w życiu nie wszystko wychodzi tak, jakby się chciało. Jest również rzeczą normalną, że po latach chętniej się mówi o tym, co się udało niż o tym, co nie wyszło tak, aby można było tym się później chwalić. Jeśli już ujawnia się jakieś błędy, to chętniej to robią mniej lub bardziej życzliwi nam zewnątrzni obserwatorzy niż my sami. Rzecz jasna, nie znają oni tych wszystkich szczegółów, które sprawiły, że nie okazywaliśmy się tak doskonali, jakbyśmy sobie życzyli. Jednak nie muszą ich znać. Niewiele bowiem wniosłyby one do sprawy, albo nawet mogłyby stanowić jakąś zasłonę dla tych życiowych porażek, które występują w życiu każdego – również tych uczonych, którzy zapisali najbardziej znaczące karty w historii nauki. Tak czy inaczej, warto sięgać do ich autobiografii, jednak dobrze je skonfrontować z tymi biografiami, które oparte zostały na rzetelnej dokumentacji życia uczonych.

W tej książce takie biografie są przywoływane. Nie stanowią one jednak jedyne źródła informacji o tych uczonych, którzy są w niej prezentowani, a tym bardziej jedynej podstawy formułowanych przeze mnie różnego rodzaju wniosków i ocen. W końcu przez lata bycia członkiem społeczności akademickiej i ze współżycia z tak mocno zróżnicowanym gronem osób nagromadziło się sporo spostrzeżeń. Nie wszystkimi z nich chciałbym się podzielić. Celem tych rozważań nie jest bowiem ani „wylewanie gorzkich żalów”, ani też pomniejszanie tych wielkości, które wprawdzie w praktyce nie okazywały się tak wielkie, jak im się wydawało, jednak przypomnienie o ich największych słabościach w moim przekonaniu nikomu nie jest potrzebne. Jednak przypomnienie nieco mniejszych jest niezbędne, aby nie wyglądali oni na jakieś boskie istoty.

W tym, co chciałbym powiedzieć i powiem na temat republiki uczonych, staram się jednak unikać tego patosu, który spotyka się nie tylko

na kartach hagiografii, ale także w okazjonalnych mowach pochwalnych (takich, jakie wygłasza się na różnego rodzaju jubileuszach oraz pogrzebach). Stąd owe tytułowe „bez namaszczenia”. W życiu akademickim są jednak takie sytuacje, w których swoisty patos nie tylko jest wskazany, ale także oczekiwany, a jego brak mógłby stanowić świadectwo braku akademickiego obycia. Dobrym przykładem może być patos, który występuje w wykładzie wygłoszonym w 1932 r. przez prof. Kazimierza Twardowskiego (osoby z wieloletnim doświadczeniem akademickim) z okazji przyznania mu przez Uniwersytet Poznański tytułu doktora *honoris causa*¹. Już jego tytuł – *O dostojęństwie Uniwersytetu* – jest patetyczny, a stanowi on jedynie zapowiedź tego patosu, który się wyraża w takich stwierdzenia, jak: „Ilekcroć wymamiam wyraz »Uniwersytet«, czynię to – przynaję – z pewnym namaszczeniem”. Można oczywiście znaleźć również takie przykłady wygłaszanych z tej samej okazji wykładów, w których wprawdzie również brakuje akademickiego patosu, ale wyrażany jest on jednak z pewnym „przymrużeniem oka” lub nawet z „biciem się w piersi”. Przykładem może być przywoływany w jednej z części tych rozważań wykład prof. Leszka Kołakowskiego, wygłoszony z okazji przyznania mu tytułu doktora *honoris causa* przez Uniwersytet Łódzki². Jeśli już miałbym podać jakiś przykład takiego mówienia o republice uczonych bez namaszczenia, które jest mi stosunkowo bliskie, to wskazałbym na *Umysł zamknięty* Allana Blooma. Nie podchodzę jednak do niego „na kolanach”. Różni mnie od Blooma nie tylko generalizująca ocena tego, kto i co „zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów” (zdaniem tego autora jest nim amerykańskie szkolnictwo wyższe), ale także, a nawet przede wszystkim przyjęta przeze mnie perspektywa rozważań (stanowią ją uniwersytety europejskie, w tym polskie).

Nieco zagadkowo może również wyglądać występujące w tytule tej książki określenie „republika”. Etymologicznie pojęcie to wywodzi się z łac. *res publica* i w dosłownym tłumaczeniu oznacza tyle, co „rzecz pospolita”. W najbardziej pospolitym rozumieniu termin ten oznacza taką formę ustrojową państwa, w której organy władzy pochodzą z wy-

¹ Por. K. Twardowski, *O dostojęństwie Uniwersytetu*, Uniwersytet Poznański, Poznań MCMXXXIII.

² Już jego tytuł (*Diabeł kłamie również, kiedy mówi prawdę*) stanowi świadectwo, że jego autorowi z namaszczeniem nie jest po drodze. Zob. *Honoris Causa. Księga pamiątkowa ku czci Leszka Kołakowskiego*, Wyd. Łódzkie – Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1994, s. 17 nn.

boru jego obywateli i mają oni jakąś kontrolę nad wykonywaniem przez te organy swoich obowiązków. Ta forma ustrojowa w różnym czasie i w różnych miejscach zawierała istotnie różniące się rozwiązania w zakresie uprawnień i obowiązków występujących w niej władz. W XVII stuleciu (w pismach Johna Locke'a) i w XVIII (w pismach Monteskiusza) pojawiały się koncepcje ich podziału na trzy władze, tj. ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. W republikach uczonych można wprawdzie znaleźć pewne analogie do tego podziału, jednak w wielu istotnych szczegółach różnią się one od rozwiązań politycznych. Spróbuję to pokazać w pierwszej części swoich rozważań. W bezpośrednim związku z nimi pozostają rozważania dotyczące autorytetów w nauce – nie tylko dlatego, że pojęcie „autorytetu” w językach zachodnich oznacza również władzę, ale także, a nawet przede wszystkim dlatego, że w takim specyficznym obszarze ludzkiej aktywności, jaką stanowi nauka, to właśnie autorytety najwięcej znaczą i znaczą. One również różnie wyglądały i funkcjonowały w różnym miejscu i czasie. Zdarzało się nawet, że zamieniały się swoją pozycją z tymi, które wcześniej funkcjonowały na marginesie nauki. Problem ten wiąże się bezpośrednio z podjętą w kolejnej części tych rozważań kwestią wrażliwości i drażliwości uczonych. Krótko mówiąc, trudno jest mi sobie wyobrazić osiągnięcie czegoś istotnego w nauce bez tego szczególnego rodzaju wrażliwości i drażliwości, jaką wykazują się uczeni. Czasami bywają one utrapieniem dla ich bliższego i dalszego otoczenia, a nawet dla nich samych. Bywa jednak również i tak, że okazują się one dla nich jeśli nawet nie jakimś zbawieniem, to przynajmniej takim wybawieniem, które sprawia, że mogą chociażby na moment oderwać się od myślenia, co by tu jeszcze zrobić, aby świat lub przynajmniej najbliższe otoczenie o nich nie zapomniało. Tak czy inaczej, jakoś trzeba żyć z tą wrażliwością i drażliwością. Ani ta pierwsza, ani ta druga nie dawałaby jednak wielkiej szansy na sukces w nauce bez tego specyficznego doświadczenia i entuzjazmu uczonych. Problem polega nie tylko na posiadaniu jednego i drugiego, ale także na takim dopasowaniu ich do siebie, aby szły one w miarę zgodnej parze do takiego celu, jakim jest – mówiąc wzniośle (za Twardowskim) – „osiąganie prawd i prawdopodobieństw” oraz dzielenie się nimi z tymi wszystkimi, którzy jeszcze do nich nie doszli, ale chcieliby dojść. Z reguły o ten entuzjazm łatwiej jest w wieku młodzieńczym niż w podeszłym. Natomiast z doświadczeniem jest odwrotnie. W nauce reguła ta ma jednak nader liczne wyjątki. Tej kwestii poświęcam również jedną z części swoich rozważań. Na końcu podejmuję problem czytania ze zrozumieniem. Dotyczy również czytania tej książki.

Jeszcze kilka słów na temat oryginalności zawartych w niej rozważań. Zapewne niejeden z jej czytelników będzie miał na ten temat własne zdanie. Tutaj chciałbym jedynie odpowiedzieć na pytanie, jak się one mają do moich wcześniejszych wypowiedzi na temat uczonych i nauki. Przyznam nieskromnie, że takich wypowiedzi sporo już się uzbierało (szczególnie w ostatnich kilkunastu latach). Nie mam niestety zbyt wiele na swoje usprawiedliwienie. Powiem jednak otwarcie, że wypowiadanie się na piśmie traktuję jako swój zawodowy obowiązek, a jego wypełnianie nie przysparza mi aż tak wielu problemów, aby w końcu zaniechać tego zajęcia. Nie bez znaczenia jest również występująca w ostatnich kilkunastu latach wzmożona intensywność akademickiego życia w Polsce.

Wszystko to jednak nie miałyby przełożenia na pojawienie się moich stosunkowo licznych publikacji na temat uczonych i uczelni, gdyby nie życzliwość i wyrozumiałość dla mojego piarstwa redaktorów tych czasopism, które udostępniają mi swoje łamy. W tym miejscu chciałbym podziękować zwłaszcza prof. Jerzemu Brzezińskiemu (redaktorowi naczelnemu „Nauki. Kwartalnika PAN”), Piotrowi Kieracińskiemu (redaktorowi naczelnemu „Forum Akademickiego”) oraz Grzegorzowi Filipowi (zastępcy redaktora naczelnego tego miesięcznika). Niektóre z zawartych w tej książce rozważań miały swoją pierwotną wersję w tych czasopismach. Żadne z nich nie pojawiło się w niej bez zmian.

Dług wdzięczności mam również wobec tych wielu osób, które przez lata mojej pracy na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu stanowiły wsparcie dla moich zmagania z nauką i akademickim nauczaniem, a także wobec tych, którzy wprawdzie nie okazywali mi pomocy, ale swoim postępowaniem sprawili, że raczej nie pozostawało mi nic innego niż zajmować się pisaniem, publikowaniem i wykazywaniem, że jednak potrafię coś więcej niż zajmowanie uczelnianego etatu. Chcę również podziękować tym moim kolegom i współpracownikom, którzy przez te lata wysłuchiwali moich zwierzeń na temat podejmowanych przeze mnie problemów. Mam nadzieję, że jeśli nawet któremuś z nich nie pomogłem w realizacji jego zawodowych planów, to przynajmniej znacząco mu tego nie utrudniłem.

Największy dług wdzięczności mam jednak wobec mojej Małżonki, która przez te wszystkie lata godziła się na poświęcanie przeze mnie aż tyle czasu moim akademickim zajęciom.